

Edward Balcerzan

Czwarty epizod

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 2 (50), 209-215

1980

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Autobiografia

Edward Balcerzan

Czwarty epizod

Mój pierwszy kontakt z literaturą współczesną miał wszelkie właściwości prymitywnej, niejako pierwotnej formy komunikacji literackiej. Na początku było słowo mówione. Zwyczaj głośnego czytania — w mojej rodzinie silnie utrwalony — konkurował ze zwyczajem innym: opowiadania książek przeczytanych. W sztuce opowiadania największe sukcesy osiągała matka. W takiej właśnie oralnej postaci, poprzez osobliwą poetykę słuchowiska rodzinnego, docierały do mnie przekazy beletrystyki polskiej końca lat czterdziestych. Zapamiętałem dwa: «Popiół i diament» Jerzego Andrzejewskiego (zdaje się, że śmierć Maćka oplakiwaliśmy prawdziwymi łzami i z pogardą odnosiliśmy się do karierowicza Drewnowskiego) i «Uśmiech żandarma» Adolfa Rudnickiego. Ten drugi utwór, pamiętam, wywołał u nas pewną konsternację. Matka dziwiła się, jak to w tej Polsce możliwe, że zezwala się na druk pamfletu na ludność okupowanej Warszawy. Po raz pierwszy wówczas zrozumiiałem, że druk wymaga zezwolenia. Wcześniej, gdy czytywałem baśni czy opowieści indiańskie, nie przyszło mi to do głowy. Długo — trudno określić, jak długo — twórczość literacką pojmowałem jako dziw natury. W istocie książki były, istniały, panoszyły się wokół mnie zawsze, i w rodzinnym Wołczańsku, i potem w Szczecinie, wydawały się czymś naturalnym właśnie, tajemniczym w swej oczywistości, sprawiającym taką samą radość, jak byt w lesie, kąpiel w morzu, bieg pod gorącym, letnim deszczem. Obcowałem z książkami, nie z literaturą. Współczesność nie była mi bliższą niż dawność. Nie odczuwałem odrębności literatury współczesnej, nie rozumiałem jej dążeń, a przede wszystkim: nie wydawało mi się — uczniowi szkoły podstawowej — iżby teksty auto-

rów współczesnych opowiadały mi o mnie więcej niż po prostu teksty ciekawe, poruszające wyobraźnię, dziwne. Pewną rolę w wyodrębnieniu literatury współczesnej jako fenomenu rządzącego się prawami autonomicznymi odegrała świadomość, iż gdzieś obok, w tym samym mieście, w Szczecinie, żyją prawdziwi pisarze. Czuję się tym faktem wyróżniony. Matka opowiadała często, jak to przed wojną, w Dniepropietrowsku czy w Charkowie, była na spotkaniu autorskim Zoszczenki. To wyróżniało ją wśród nas. Rozumiałem (nie rozumiejąc, oczywiście, mechanizmów tego mitu), że są ludzie, ludzie wyjątkowi, których należy zobaczyć, a samo zobaczenie wyjątkowego człowieka to zdarzenie bardzo ważne, liczące się w życiu. Jak zobaczenie po raz pierwszy morza, jak pierwsze pójście do kina, jak spotkanie oko w oko z widmem. Ludźmi wyjątkowymi, wiedziałem, są także pisarze. I oni, podobnie jak książki, byli dla mnie jedną z niepojętych tajemnic natury. Ale «pierwszego w moim życiu» pisarza dane mi było zobaczyć w nowym, całkowicie zrewolucjonizowanym epizodzie mojej biografii odbiorczej.

* * *

To w moim mieście odbył się ów osławiony Zjazd Literatów 1949 roku. Miałem wówczas jedenaście lat. Nie czytałem doniesień prasowych, interesował mnie wyłącznie drukowany w «Kurierze Szczecińskim» komiks przedstawiający przygody Agapita Krupki. Od matki wiedziałem jednak, że odbył się Zjazd i że teraz literaci podjęli zobowiązanie, żeby pisać jednakowo. Kto nie będzie pisał tak, jak ustalono, tego nie będą drukować. Tyle zapamiętałem.

Wkrótce literatura współczesna określiła się w mej wyobraźni jako zjawisko odrębne, w pełni zrozumiałe, łatwe do opanowania. Została całkowicie wyłączona z przestrzeni natury i usytuowana w porządku kultury. Rzec by należało: została wyizolowana także z moich dotychczasowych doświadczeń lekturowych. Owszem, nadal czytałem, a czytałem coraz zachętniej, książki rozmaite, nie tylko nowości, choć starałem się z nowości okrzyczanych poznać wszystkie. Ale były to dwa różne style lekturowe. Styl tradycyjny faworyzował pełnię wzruszeń i zadziwień czytelniczych. Obejmował on zresztą także swym zasięgiem utwory «przerabiane» w szkole — dzieła klasyków. Nikt nie powiedział mi wówczas, że do dobrego tonu należy konać z nudów przy lekturach szkolnych: Kochanowski, Mickiewicz, Słowacki, Prus, Żeromski, Reymont wcale nie wydawali mi się «nudni». Zresztą sam chciałem zostać pisarzem. Nowy styl odbioru kształtował się wobec dzieł współczesnych. Zadziwienia i wzruszenia nie pojawiały się tu: byłyby nie na miejscu. Co-

raz dokładniej wiedziałem, że literatura współczesna nie jest przyjemnością, lecz walką. Nie powstaje dla kogoś, lecz przeciw komuś. Powinna przede wszystkim gniewać wroga klasowego. Im natrętniej agituje, tym silniejszy wywołuje gniew, a im silniejszy wywołuje gniew (kułaków, podżegaczy oraz bumelantów), tym słuszniej czyni swą dziejową powinność. Funkcjonowanie tej literatury wyobrażałem sobie tak, jak mogliby ją narysować w «Krokodylu» Kukryniksy. Z otwartej książki wychodzi potężny robociarz, unosi pięść w górę, a pod jego stopą giną zaplute karty reakcji.

W tych latach zobaczyłem pierwszego pisarza. Okoliczności tego zobaczenia jeszcze silniej — prawie symbolicznie — utrwaliły we mnie przeświadczenie o bojowych, politycznych zadaniach literatury współczesnej. Na Jasnych Błoniach odbywała się manifestacja antywojenna. Tłum, transparenty, budki z kiełbaskami, pieśni w megafonach, zespoły pieśni i tańca. My, uczniowie, pałętaliśmy się wśród tłumu, gdy nagle ktoś powiedział, że po drugiej stronie, na placu za gmachem Prezydium MRN stoi Jerzy Andrzejewski. Jak: stoi? No stoi, wysoko, nie na trybunie, lecz na takim podium, on jako poseł z jednej strony, a inny poseł z drugiej, nieruchomo, bardzo dobrze go widać, idziemy? Przepisaliśmy się przez tłum, dostaliśmy się na plac, zobaczyliśmy z bliska Jerzego Andrzejewskiego. Stał bez ruchu, mistycznie i smutno. Między nami a nim nie było żadnego kontaktu. I to właśnie miało swój sens symboliczny — w odniesieniu do literatury, pisarzy i czytelników. Niepisany rytuał manifestacji politycznej zakładał, że jest się tu, na tym placu, przeciw. Pisarz stoi przeciw wrogom. My pałętamy się wokół — także przeciw wrogom. Literatura współczesna powstaje przeciw wrogom. I jeżeli trzeba ją czytać, to również nie dla siebie, lecz przeciw, na złość.

* * *

Trzeci epizod mojej biografii odbiorczej splata się z pierwszym epizodem biografii pisarskiej. W 1955 r. zostałem członkiem Koła Młodych ZLP w Szczecinie. Uczestnicząc w zebraniach Koła mogłem teraz poznawać literaturę współczesną *in statu nascendi*: w maszynopisach, w wariantach brudnopisowych, w przeobrażeniach tekstu analizowanego przez wspólnotę pisarską i poprawianego wielokrotnie do skutku, lub do kosza. Zakulisowość twórczości, niejasność intencji autorskich, błędzenie myśli, gra przypadków, rola współautorskich interwencji kolegów i redaktorów, to wszystko modyfikowało mój odbiór każdego nowego dzieła współczesności. W każdym szukałem teraz śladów tych samych chaosów zakulisowych, jakie objawiały mi się w twórczości mych starszych kolegów po piórze. I jeszcze jedno. Spory w Kole, owszem, nader pryncypialne, były też i dowcipne. Dyskusja bez akcentów

ludycznych, pozbawiona jakichś zdarzeń zabawowych, o których się opowiada potem wielokrotnie, uchodziła za dyskusję straconą. Śmiech traktowaliśmy jako miarę sukcesu, konieczność środowiskową, stały atrybut gry twórczej. Kończył się soc, trywialność jego produktów stawała się oczywista, oficjalność kultury literackiej «mijającego okresu» nadawała się już tylko do kabaretu. Rosta w cenie ironia, a zwłaszcza autoironia: samoobrona przed śmiesznością. Mój nowy sposób czytania stawał się coraz natrętniej agresywny. Domagał się natychmiastowego przekładu z języka wrażeń osobistych na język opinii krytycznoliterackiej. Teraz ważne było nie tylko przeżycie, ale i forma jego wystowienia. Nie pisywałem jeszcze recenzji; uczyłem się myśleć o nowych utworach mową recenzencką.

Najogólniej powiedzieć by można, że oceniałem kolejne utwory — wierząc w sprawiedliwość Historii. Było to zapewne dziedzictwo poprzedniego okresu — przekształcone w nową estetykę. Skończyły się dawne poetyki, ale wiara w sens dziejowy wszelkich przedsięwzięć twórczych pozostała. Od połowy lat pięćdziesiątych do połowy sześćdziesiątych pojmowałem literaturę współczesną jako gigantyczną jedność w wielości. Była to literatura pluralistyczna, wielokierunkowa, eksponująca osobowości odrębne, faworyzująca oryginalność stylu i niezwykłość wyobraźni. Myślałem, że to wspaniale, i jednocześnie, że w tym gąszczu innowacji artystycznych istnieje pewien wyższy porządek ewolucyjny, który popycha sztukę ku coraz wyższej i wyższej doskonałości. A przynajmniej: taki porządek, który oczyszcza pisarstwo z łatwizny i oszustwa, kompromituje postawy cyniczne, eliminuje twory epigońskie. Owszem, zdarzają się jeszcze raz po raz jawne nieporozumienia wydawnicze, bywamy świadkami fałszywych karier pisarskich, ale jutro, sądziłem, dla wszystkich staną się widoczne ułomności tych dzieł i tych karier. Jutro nie będzie miejsca dla kiczu: kicz natychmiast rozpozna i odrzuci sam czytelnik. Nie będzie szansy dla pisania pod publiczność: publiczność literacka — sama — grać roli publiczki nie zechce. W tym wielkim oczyszczeniu sztuki literackiej powinna przodować krytyka edukująca — szkoła interpretacji tekstu. Mieliśmy wówczas tylu świetnych krytyków, że wiara w ich moc wydawała się wcale nie naiwną, a przeciwnie: racjonalną kalkulacją.

* * *

To nieprawda, że czytelnik obcuje wyłącznie z książkami. W pewnym momencie wykracza poza tekst. Staje się czytelnikiem twórczości wybranych autorów. Porozumiewa się z seriami dzieł. Zaczyna śledzić rozrost księgozbiorów, czytać porównawczo: tekst wobec innych tekstów. Istotny wpływ na przeżywanie sztuki literackiej wywiera wiedza o przeżyciach innych

czytelników. Nie wystarczy już świadomość siebie. Trzeba umiejscowić ją w przestrzeni świadomości innych ludzi. Czyta się więc czytanie cudze (stąd potrzeba krytyki), a poprzez znaki cudzego czytania — odczytuje się nie tylko sens wewnętrzny dzieła, lecz także ich społeczną sytuację.

Sytuacja literatury współczesnej? W moim odczuciu zmieniła się dziś, w latach siedemdziesiątych, i coraz mniej przypomina siebie samą sprzed lat dwudziestu czy nawet dziesięciu. W czasach podwilżowych kształtowała się jako jedność w wielości. Dziś odbija się w społecznej wyobraźni jako wielość bez jedności. Rozpada się na zupełnie sobie obce i wzajem nieprzekładalne hierarchie. Być może wewnątrz, w systemie poetyk, w układzie stylów, w dialogu wizji pisarskich jest nadal ewoluującą całością. Ale na zewnątrz, w odbiorach społecznych i w ocenach poszczególnych dzieł nie istnieje już od dawna żaden zarys normy całościowej. Porównajmy lektury krytyków z lekturami uczestników regionalnych spotkań literackich. To dwa światy, dwie niestyczne atmosfery, dwa różne języki wzruszeń. Zestawmy listy literackich medalistów z listami autorów najchętniej czytanych przez młodzież. Młodzież sobie, instytucje sobie. Niech każdy sam siebie zapyta, ile z jego czytelniczych doświadczeń odbija się w tym, co mówią o literaturze ekrany TV, jak pokazują ją wysokonakładowe dzienniki? Kto rozpozna swój wizerunek odbiorcy literatury współczesnej w tych powiadomieniach, a zwłaszcza w ich języku? To tak, jakbyś spojrział w lustro i zobaczył w nim nagą ścianę. Lecz to znaczy, że twoje z kolei obrazy literatury współczesnej — z twoich uformowane doświadczeń — są dla innych sektorów odbiorczych taką samą ścianą czy próżnią! Stało się, iż literatura — niezależnie od jej dążeń wewnętrznych — liczy się dziś głównie jako narzędzie rozmaitych koniunktur pozaliterackich. Jak gdyby istniała nie po to, aby czytać jej teksty, lecz po to, aby się nimi umiejętnie posługiwać.

Jeżeli książka zwraca na siebie uwagę, to najpierw jako zdarzenie społeczne, a dopiero potem jako fakt artystyczny. Gdy w danym kręgu odbiorczym akceptuje się słuszność socjologiczną utworu — wobec mielizn pisarskich organizują się momentalnie całe sieci retoryk wybaczących niedostatki literackie dzieła. Co się wydaje potrzebne, to musi wydawać się dobre. Nie dość na tym. Rozprzestrzenia się zwyczaj czytania książek ewidentnie złych, które w mniemaniu jednej wspólnoty odbiorczej kompromitują wspólnotę drugą. Czytałeś, co ten dureń znowu napisał? ależ to absolutny kosmar! musisz koniecznie przeczytać. Z taką formą zachęty spotykam się dosyć często. Znam ludzi recytujących na pamięć obszerne fragmenty jednej z najgłupszych książek poetyckich (pech chciał, że ukazała się w Poznaniu) całego powojennego trzydziestopięcioletnia. Ludzi ci wiedzą, że to szmira: obcowanie z nią sprawia im jakże złośliwą, masochistyczną satysfakcję. Oni jeszcze wiedzą. Ale

gdy proces atrofii estetyki będzie się dalej pogłębiał, czy wiedzy tej — nie odnawianej i nie pielęgnowanej — wystarczy dla przyszłych pokoleń? I czy literatura nasza, traktowana jak ów postaw sukna, kawałkowana bezceremonialnie, i w najszlachetniejszych, owszem, celach ideowych, i w beznadziejnie komercyjnych, ostanie się jako rzeczywisty autorytet kultury współczesnej? Już teraz trzeba sobie zadawać takie pytania, dopóki życie sztuki literackiej obchodzi jeszcze u nas kogokolwiek.

* * *

Środowisko. Chcę rozumieć to pojęcie tradycyjnie, jako przestrzeń umożliwiającą życie. (Środowisko = obszar, w którym potrafimy żyć). Czy środowisko literackie jest obszarem, w którym można żyć w roli pisarza? czy też staje się terenem ról zastępczych? Pamiętam, w czasie zjazdu ZLP w Poznaniu, kiedy odczytywano którąś z list pisarzy kandydujących do jakiejś instancji związkowej, mój przyjaciel, poeta trzydziestoletni, przy niektórych nazwiskach powtarzał:

— Uhu, uhu, porządny.

A przy innych:

— Uhu, uhu, świnia.

Nie «nowator» i «epigon», nie «mistrz» i «grafoman», lecz «porządny» i «świnia».

— Zauważyłeś? Wyszło pół na pół. Uhu — podsumował swoje obserwacje. W granicach tej dychotomii rysował mu się obraz środowiska. To się zresztą przyjęło. Przed rokiem zwierzał mi się pewien sławista szwedzki, który — bawiąc w Polsce — zrezygnował z udziału w jakiejś imprezie dyskusyjnej:

— No jak ja mogłem od nich nie uciec, kiedy patrzę, a tu s a m i ś w i n i !...

Dziś ta dychotomia zawodzi, pojawia się trzecia kategoria: «niewyraźnych», ale reguła typologii postaw pozostaje ta sama. Oczywiście, w różnych indywidualnych perspektywach ten sam człowiek może być jednocześnie «niewyraźnym», «świnia» i «porządnym».

Przyczyny? Skutki? O przyczynach trzeba by pisać językiem studium socjologicznego; skutki można odnotować stylem autobiograficznych migawek. Skutki są fatalne. W moim mieście obserwuję proces postępującej «marsjanizacji» środowiska pisarskiego. Jeden dla drugiego staje się Marsjaninem, osobowością zamkniętą i niekomunikowalną. To łatwo poznać: po bólu oczu. Gdy spotykam kolegę-pisarza, a wiem, że został Marsjaninem dla mnie, i wiem, że ja dla niego także jestem Marsjaninem, patrzymy na siebie tak, by się wzajem nie widzieć. Bo jakże inaczej, skoro ma się w pamięci owe bezustanne spisowania środowiska przeciw środowisku? Może

on właśnie wraca z posiedzenia, które spiskowało przeciw mnie, lub może ja spiskuję właśnie przeciw niemu? Obaj wiemy, że nasza aktywność wyzwała się w grach personalnych. Spotykamy się rzadko i wyłącznie w przestrzeni nieautentyczności zawodowej. To tak, jak gdyby aktorzy po spektaklu nadal grali role zapisane w scenariuszu sztuki. Dla kogo gramy? Każdy dla kogoś innego. Pozostało nam, Marsjanom, tyle jeszcze wstydu, żeby się przynajmniej nie wygłupiać po zejściu ze sceny. Lecz poza sceną nie mamy już wspólnego języka. Nasze spojrzenia mijają się, ześlizgują w bok, zakrzywiają, i jeżeli któremuś z nas uda się w sposób «niewymuszony» przemknąć na drugą stronę ulicy, obaj czujemy coś w rodzaju cierpkiej ulgi.

Poznań, grudzień 1979 r.